

STAŃKO ZAGRAŁ I POWIEDZIAŁ

27 października Tomasz Stańko New York Quartet zagrał w łódzkiej Wytwórni znakomity koncert, dedykowany pamięci Wisławy Szymborskiej. Wystąpili: Tomasz Stańko - trąbka, David Virelles - fortepian, Ben Street - kontrabas, Gerald Cleaver - perkusja.

Album „Wisława” powstawał w czerwcu 2012 roku w Nowym Jorku; mieście, które dla Stańki jest drugim domem. To tam komponuje, uczestniczy w artystycznym życiu i śledzi muzyczne aktualności. Przed koncertem muzyk udzielił wywiadu Dominice Kawczyńskiej (tekst zamieszczamy dzięki uprzejmości Wytwórni):

Dominika Kawczyńska: Wisława Szymborska pisała, że "Saksofonista przeciągły, saksofonista kpiarz/ ma własny system świata, nie potrzebuje słów". A trębacz?

Tomasz Stańko: - Szymborska jako poetka w szczególny sposób odbierała muzykę. Saksofonista miał dla niej symboliczne znaczenie. Jazz zawsze był obecny w Krakowie, gdzie Wisława Szymborska żyła i tworzyła, a ona pamiętała wszystko. Jerzy Illg, jej wydawca, wciągał mnie w poezję. Planował kolaż muzyki i liryki. W efekcie stworzyliśmy interesującą formę - nie grałem pod wiersz, ale między wierszami. Poeta inaczej interpretuje swoje utwory niż aktor. Lepiej, bo przeżył je, przetrwał. Pauzy, intonacja, wszystko ma znaczenie. Szedłem po brzmieniu i to okazało się świetnym doświadczeniem. Szymborskiej też się ten eksperyment spodobał. Illg wymyślił, żebym jej ostatni wiersz komentował solowymi wtrętami. Muzyka pozwalała na odpoczynek od czytania. Miała podobną funkcję jak ostry chrzan wasabi podczas jedzenia sushi. Mnie w Szymborskiej najbardziej ujęło to, że stanowiła część popkultury. Podobała się. Mieszała rzeczy silnie transcendentne, bogate duchowo z pospolitością dnia codziennego. Jej śmierć zastała mnie w Nowym Jorku, zdecydowałem wtedy, że poświęcę Wisławie Szymborskiej płytę. Jej duch unosił się w studiu nagraniowym.

Co zapamiętał Pan z waszego pierwszego spotkania w radiowej Trójce?

Jej głęboki, kobiecy, delikatny głos. Było w nim słyhać dojrzałość, wszystkie przeżycia. Miał ciekawe, dziwne brzmienie. Szare, wyraziste. Myślę o niej czasem jak o trębaczku.

A przypomina Pan sobie, kiedy sięgnął Pan po jej poezję?

Musiałem czytać jej wiersze jako chłopiec. Jestem z Krakowa, kręciłem się i przy ul. Krupniczej, gdzie polscy literaci mieli przystań. Stary Kisiel mieszkał na parterze, a nad nim - Radyński. Obok był klub, w którym ponad 50 lat temu grałem podczas Sylwestra. Ona też na nim była.

Czyli jednak to nie warszawskie studio przy Myśliwieckiej 3/5/7 było pierwszym miejscem, w którym się zetknęliście. Kraków był wówczas mały. Pitrasiliśmy się w jednym sosie.

Ma Pan ulubiony wiersz Szymborskiej?

Lubię ten ze skwarkami. "Metafizykę". Tytuł kojarzy mi się z kobiecym imieniem, to pewnie przez tę końcówkę "a". Jestem przywiązany do myśli, że sztuka jest jednolita. Wszystkie dojrzałe muzyki mają jeden korzeń. James Brown rymuje się z Mahlerem, muzyką hinduską i turecką. To się czuje, ludzie jednakowo przeżywają. Tak samo wsłuchują się w siebie w metrze w Nowym Jorku i w Polsce. To stało się w chwili wielkiego wybuchu, gdy powstał atom, widać materia ma skłonność do komplikacji. Muzyka Chopina oznacza ewolucję materii. Wszystko sprowadza się do jednego punktu.

Podkreśla Pan, że inspiracja rozkłada się w czasie, a dla Pana była nią nie tylko poezja, ale i postać Szymborskiej. Zastanawiam się, jak przekłada się świat budowany słowem na dźwięk.

Muzyka nie opowiada tym samym językiem, co słowo. Ona operuje pojęciami abstrakcyjnymi. Jej odbiór przypomina eksperyment fizyczny. Wynik zależy od tego, czy jest obserwator, czy go nie ma. Słuchałem kiedyś z dziewczyną Steviego Wondera. Mnie te dźwięki wprowadziły w melancholijny nastrój, ona wręcz przeciwnie - była radosna.

Zostałby Pan trębaczem, gdyby nie to, że w harcerstwie wytypowano Pana do gry hejnału na sygnałównce?

Chyba to spowodowało, że trąbka wygrała z saksofonem. Do gry na niej potrzebne są tylko trzy palce i intuicja, a tę mam świetną. Używam jej całe życie. Pamiętam jednak, że zawsze może zawieść. Jestem czujny.

Kiedy narodziła się w Panu skłonność do anarchii, do której przyznaje się Pan w autobiografii?

Każdy ją chyba w sobie nosi. Ciągnęło mnie do brudu w sztuce, podziwiałem artystów, którzy żyli burzliwie. Ujął mnie życiorys Modiglianiego. Jako 20-latek usłyszał od lekarzy, że lada chwila umrze. A on nie tylko nie umarł, ale zaczął palić haszysz, żył jak zwierzę i został wielkim malarzem. Zawsze podobały mi się czasy desperado. A przecież jazz związany jest z desperackim, bogatym, pełnym sprzeczności sposobem życia, a tym samym z olśnieniami. Muzyk jest jak mistyk. Czuje więcej. Cóż musiało się dzieć w głowie Szymona Słupnika, który kilkadziesiąt lat spędził na słupie! A mógł dostać pierdolca.

Nie lubi się Pan nad sobą roztkliwiać. Kiedy był Pan dzieckiem, widok płaczącego w pociągu mężczyzny wywołał w Panu wstręt.

Nadal nie znoszę okazywać słabości. Pamiętam, że patrząc na tego mężczyznę czułem... zażenowanie. Trudno nazwać ten stan. Jestem depresyjny, ale życie utwardza. Uodparniamy się na ciosy z biegiem czasu.

Jako dziecko był Pan podobno nieśmiały, nie wierzył w siebie. Co musiało się wydarzyć, żeby purytanin został desperado?

Zacząłem grać jazz i pić wino. A już wcześniej szaleńcy - Van Gogh i Kafka - mnie kształtowali. Ten ostatni robił głodówki, z pewnością nie był normalny.

A Pan jest normalny?

Ja? Jestem klasycznym mutantem. Rozwój ewolucji tworzy odmieńców. Zdolność do myślenia abstrakcyjnego także była mutacją. Zwykle te zmiany są niekorzystne, a dotknięta nimi jednostka umiera. Ale niekiedy mutant szybciej myśli, wykazuje dużo lepsze zdolności rekreacyjne, dyma tych normalnych i dzięki temu wszystko idzie do przodu.

To czemu Pan ma tylko jedną córkę?

Może jednak nie jestem mutantem...

Przyznał się Pan, nie ma odwrotu. To kiedy nastąpił w Panu przełom? Gdy jako ministrant wypił pierwszą szklankę wina i zapalił papierosa?

Byłem wtedy drugi raz w dziesiątej klasie, miałem 18 lat. Zacząłem chodzić do dwóch szkół i nagle bardzo dobrze się uczyć. Szybko nadrobiłem stracony czas.

Jazz to bunt?

Nie. Może kiedyś, za czasów bitników. Jazz jest muzyką uliczną, muzyką Afroamerykanów. Niesłychanie wyrafinowaną. Jazz przeskoczył okres notacji. Kiedy nie było pisma, wiersze przekazywano ustnie, dlatego ich rytmiczna struktura była tak skomplikowana. Łatwiej tę formę zapamiętać. Podobnie afrykańska muzyka - opierała się nie na zapisie, ale stała na fundamencie,

zbudowanym z matematyki teoretycznej. Przeskoczyła etap, który musiała przejść muzyka klasyczna. Jazz zmiksował się z kulturą białych, w wyniku czego powstał dziwny melanz. Kultura czarnych Afroamerykanów opanowała świat już pod koniec XIX wieku. Jej echa słychać dzisiaj wszędzie. Nie ma nic innego. Wszystko się na tym opiera.

W Nowym Jorku gra się inaczej niż w innych miejscach na świecie?

Jazz wszędzie gra się tak samo, mimo że w Nowym Jorku publiczność jest bardziej osłuchana. Ale przecież ludzie nie muszą się znać, żeby przeżywać. Nowy Jork to dzisiejszy Babilon, centrum cywilizacji. Tę energię się czuje na każdym kroku. Miasto żyje całą dobę. I jest bardzo tolerancyjne. Kiedyś będzie tak na całym świecie.

Skąd to przekonanie?

Ci, którzy nie uczą się tolerancji, wypadną z życia. Przecież to oczywiste, że "obcy" kiedyś przyjdą. I trzeba będzie dla tych energiczniejszych zrobić miejsce. Tolerancji powinno się uczyć, jeśli nie wyniosło się jej z domu. W Nowym Jorku nawet żebrak, któremu nie wrzuci się drobnych, życzy miłego dnia, bo wie, że to inwestycja. Jeśli będzie miły, może dostanie coś następnym razem? To się zwyczajnie opłaca.

W Nowym Jorku grał również Michał Urbaniak. Powiedział Pan kiedyś, że to jemu zawdzięcza współpracę z Komedą. Proszę o tym opowiedzieć.

Michał tam żył całe lata, był osadzony w tym mieście. Kumpłowaliśmy się już w Polsce, w młodości. Jego mieszkanie na Powiślu było punktem spotkań. Właśnie Michał zaprosił mnie do pierwszego bandu. To był dla mnie wielki honor. Kilka miesięcy później polecił mnie Komedzie. Pewnego dnia Trzcíńskiemu nawalili duńscy muzycy i szukał zastępstwa. Nawet nie wiedziałem, że do mnie dzwonił, ludzie mi powiedzieli, że Komeda mnie szuka. Poszedłem do niego i usłyszałem: "no, dzień dobry, gramy jutro koncert". Mieszkałem u Wacka Kisielewskiego. Dobrze, że trąbę ze sobą miałem. Wkrótce potem Trzaskowski zaproponował mi współpracę. Szybko wszedłem na polską scenę jazzową.

W 2011 roku projektował Pan, że może za kilka lat przejść na emeryturę, siądnie w Podkowie Leśnej i będzie tylko myślał. Naprawdę potrafi Pan to sobie wyobrazić?

Tylko teoretycznie. W praktyce uciekam stamtąd po półtora dnia. To najtrudniejszy do zrealizowania plan. I jednocześnie bardzo szlachetny. Diogenesowi się udało. Siedział i myślał.

Ale nie szykuje Pan póki co becзки?

Nie, na razie kursuję między Nowym Jorkiem a Warszawą, muszę być w pełni sił, każda pomyłka dużo kosztuje. Ideałem byłoby zachować tempo, przeć do przodu, nie oglądając się za siebie. Nie mam starczych myśli typu "za moich czasów...". Nowe czasy coraz bardziej mi się podobają. To efekt życia w stałym ruchu. Chciałbym pewnego dnia sięść jak Indianin i umrzeć. Trzeba sobie na to zasłużyć. Dobrze rozłożyć balans, wiedzieć w porę, z czego należy zrezygnować.

Można być muzykiem i unikać używek?

Nie będę reklamował narkotyków. Współcześnie większość artystów jest czysta. Nie sądzę, żeby Madonna albo Sting się wspomagali. Dzisiaj częściej robią to ludzie z branży reklamowej. Jazzmani i rockmani są coraz bardziej trzeźwi. Eksperymenty ze świadomością są dla dzieci. Oczywiście, trafiają się ludzie, którzy wypiją kieliszek wódki pięć razy i już są uzależnieni, ale to wyjątki. Trzeba mieć predyspozycje. Najwięcej szkody robią ci, którzy zabraniają. To nielegalność otworzyła kartele narkotykowe. Jak rzuciłem haszysz, najbardziej brakowało mi wizyt u handlarzy. To takie barwne postaci! Niezwykły był również towarzyszący tym spotkaniom dreszczyk emocji. Narkotyki są lekarstwem. Żeby dobrze go użyć, trzeba mieć skomplikowaną wiedzę anestetyczną. A ludzie znieczulają nim trudy życia.

Nie zakłada Pan już chustki na głowę, białych butów i nie wędruje z grudkami haszyszu, amfetaminą, flaszką i tasakiem w kieszeni?

Już nie.

A po co był Panu ten tasak?

Dobrze wyglądał.

Dorocie Wodeckiej opowiadał Pan, że w podstawówce kręcił na noc włosy na ołówku, żeby mieć rano lok, a w wieku 16 lat przechadzał się dumnie po ulicach w ciemnowiśniowych sztruksowych spodniach. Nadal lubi się Pan wyróżniać?

To dobry moment, żeby przypomnieć moje motto, zdanie Himilsbacha: "Udzieliłem w życiu setki wywiadów. Zawsze kłamałem" (śmiech). Dzisiaj wszyscy się wyróżniają. Kiedy za moich czasów ludzie zaczęli nosić kolczyki, sam również ozdobiłem ucho w ten sposób. Ale kiedy pół roku później zauważyłem, że już nawet urzędnicy je zakładają, natychmiast się swojego pozbyłem.

A gdzie ma Pan kapelusz?

Znudził mi się. Na tę trasę wziąłem kaszkiet. Bardzo ładny.

Najważniejsze dla muzyka jest...

W życiu jedna rzecz jest ważna. Życ. Niech mi pani wyśle ten tekst, muszę wiedzieć, co pani tam napisze.

Na pewno same kłamstwa.

A, to proszę bardzo.